

ŻADNYCH WYŚCIGÓW!

rozmowa *Lukasza Maciejewskiego* z *DOROTĄ POMYKAŁĄ*

- W „Królowej aniołów” po raz kolejny spotkała się Pani z Mariuszem Grzegorzkiem. Wcześniej był znakomity spektakl Teatru TV „Z prochu powstałeś” według Pintera.

- Ten film, rozgrywający się w dwóch płaszczyznach czasowych - współczesnej i sprzed 150 lat - opowiada o zanikaniu uczuć, ich dotkliwym braku zarówno w naszym świecie, jak i w świecie naszych rodziców, dziadków. Gram w nim kobietę spodziewającą się dziecka, która ze swoją matką (Zofia Rysiówna) zamieszkuje dziwny, oniryczny dom pozbawiony w ogóle mężczyzn. Uwiarygodnienie osobliwych relacji pomiędzy tymi dwiema kobietami, ich wzajemnego stosunku było zadaniem szalenie skomplikowanym. Zadaniem, którego jednak na pewno, niezależnie od efektu, warto było się podjąć. Mariusz Grzegorzek nie jest bowiem zwyczajnym reżyserem, praca z nim to dla aktora coś więcej niż tylko realizacja kolejnego artystycznego projektu - jest wyzwaniem także w kategoriach czysto ludzkich.

- Bożena Adamek, która fenomenalnie zagrała w „Rozmowie z człowiekiem z szafy”, mówiła mi kiedyś, że - w jej opinii - Grzegorzek jest wręcz osobowością „wampiryczną”.

- Być może rzeczywiście jest wampirem, ale ja już dawno odkryłam w sobie podobne skłonności, zatem wzajemnie sobie tę krew wysysaliśmy... Poważnie mówiąc, Mariusz potrafi sprokocować aktora do takich emocjonalnych wibracji, które w efekcie końcowym najbardziej zaskakują samego wykonawcę. Te jego swoiste czary spowodowały, że po realizacji wspomnianego przez pana Teatru Telewizji według Pintera ja - kalam się przez parę dni, nie mogąc pozbyć się napięcia.

- Podobnie ekstremalne doświadczenia mogą okazać się dla aktora bardzo niebezpieczne.

- Być może, ale też nikt specjalnie nie kazał mi się jakaś, zrobiłam to na własne życzenie, nikt mnie do niczego nie zmuszał, nie ingerował w moją prywatność. Już tydzień później zatęskniłam z powrotem do pracy z ekipą Mariusza, która, na czele z operatorką Jołą Dylewską, nie chodzi, a unosi się wręcz w powietrzu, żeby nie zburzyć żadnego nastroju. To będzie piękny film, zobaczy pan. Może nie dla wszystkich, ale przecie - reszta jest milczeniem”.

- Ta „reszta” woli, co rozumiałe, kino popularne. Pani miała szczęście wziąć udział w kilku udanych przedsięwzięciach tego typu. Myślę na przykład o „Wielkim Szu” Chęcińskiego.

- A wie pan, że bardzo długo zastanawiałam się czy w ogóle przyjąć tę rolę. Wówczas byłam świeżo upieczoną absolwentką PWST i uznałam, że jako aktorka dramatyczna będę grała wyłącznie Szekspira, Czechowa czy też Dostojewskiego. Tymczasem na dobry początek zaproponowano mi zagranie prostytutki. Nie było to zbyt ambitne zadanie dla przyszłej Maszy, o



Dorothea Pomykała

czym powiedziałam zaraz Chęcińskiemu, na co on odparł: „Ale, Dorotko, to jest k... myśląca, po polonistycę”. No, skoro po polonistycę i jeszcze na dodatek myśli, czemu nie. I zagrałam, a jakże!

- W późniejszym o kilka lat głośnym filmie Jacka Skalskiego „Chce mi się wyc” nie grała Pani wprawdzie przedstawicielki najstarszego zawodu świata, za to odwaga scen erotycznych z Pani udziałem do dzisiaj budzi respekt. Czyżby w tym przypadku nie było z Pani strony żadnych obyczajowych wątpliwości?

- Sam tytuł zawiera dość twórcze przesłanie... Mówiąc jednak serio, z perspektywy czasu myślę, że razem z Mirkiem Baką swoim udziałem w filmie wyrządziliśmy krzywdę reżyserowi. Mówił pan o odwadze scen erotycznych, ale proszę mi wierzyć, że one nawet w połowie nie oddawały tego, co było w scenariuszu. Jacek wymyślił sobie bowiem taką ostrzejszą wersję „Dziewięć i pół tygodnia” rozgrywaną się w scenerii

stanu wojennego. Po przeczytaniu scenopisu byłam przerażona, bo z jednej strony duża, wyrazista rola, z drugiej coś zupełnie ponad moje siły. Zadzwoniłam do Skalskiego, mówiąc mu, że mnie na takie istnienie w kinie nie stać. Mirek Baka też podobno złożył identyczną deklarację. Mimo wszystko, podobno za silną namową Krzysztofa Kieślowskiego, zegraliśmy, ale reżyser musiał zgodzić się na daleko idące ograniczenia, zmiany. Wieczorami pisaliśmy tekst, który był realizowany nazajutrz. Fantastyczne doświadczenie! Nie wiem tylko czy tamta atmosfera wspólnego tworzenia przełożyła się na ostateczny artystyczny efekt.

- Moim zdaniem - nie. Znacznie bardziej lubię Pani niema rolę w „Odwecl” Zygadły z mniej więcej tego samego okresu.

- Ja także jakoś szczególnie lubię ten film, swoją rolę, która funkcjonowała na zasadzie symbolu, czegoś ponadczasowego. Byłam w tym filmie na życzenie Zygadły, a bez moich protestów, nie domalowana, nie upiększona, nic nie mówiąca - taki obserwujący posąg, ale być może dzięki temu tak głęboko wypełniona treściami, które „Odwecl” niósł. Tomek Zygadło to w ogóle bardzo mądry, wrażliwy człowiek. A akurat ten film w swojej wymowie prawie w ogóle się nie zestażał. Bo też niewiele w gruncie rzeczy się zmieniło. Nadal zbyt mało pozostaje w nas z dziecięcych marzeń, a zbyt wiele jest ich dramatycznych, okrutnych kontynuacji w tzw. dorosłym życiu. Potem pewnych rzeczy żalujemy, ale na zmiany jest już za późno.

- „Życie jest historią win i wyrzutów sumienia” - napisał Andrzejewski.

- Jest także pociągiem, którym każdy chce się przejechać na gapę. Są oczywiście różne pociągi, na przykład do Hollywood, a mnie zawiózł kiedyś do Danii, gdzie dostałam rolę swojego życia (dotychczasowego!). W „Urodzinowej podróży” nie musiałam właściwie niczego grać, wystarczyło, że byłam. A potem dali mi jeszcze (ci Duńczycy) za to nagrodę. No, ale to było sto lat temu.

- Duńska kinematografia dziś znowu święci triumfy na międzynarodowych festiwalach.

- Teraz już pan wie dlaczego.

- Ale Pani konsekwentnie odrzuca wszystkie napywające stamtąd propozycje?

- Bo Dorota Pomykała lubi ciepło i chętnie zagrałaby w jakimś filmie greckim. W Danii jest zdecydowanie za zimno. Nie mówię jednak „nie” i jeśli klimat się ociepli, to kto wie, kto wie.

- Przestrzegano mnie, że z Pomykałą trzeba uważać, że ma „zabójcze” poczucie humoru.

- Być może to mnie w ogóle trzyma przy życiu. Jestem, jaka jestem, nie wciągam brzucha, gdy rano wstaję, nie mizdrzę się do ludzi. Te rzeczy wymalowałam wyłącznie dla pana.

- Jestem pod wrażeniem.

- Powiem panu jeszcze, że cały czas spełniam się w zawodzie, mam również czas na myślenie, na lekturę, na pracę z młodzieżą na Śląsku. Nie jestem zniewolona przez kogolwiek czy cokolwiek. Potrafię cieszyć się z tego, co mam i nie zamartwiać o jutro. Nic za wszelką cenę, żadnych wyścigów, bo niby do czego i po co...

- Wydaje mi się, że może w Krakowie jest pod tym względem łatwiej. Kiedy zaczynałem studia, powtarzano nam często, że jeśli chcemy robić szybko pieniądze i szybką karierę, to na pewno nie tutaj.

- No tak, w Krakowie nie ma się po co rozpędzać, bo ulice są za krótkie. A tzw. „kariera” nigdy mnie nie interesowała i to nawet nie dlatego, że jestem taka skromna czy mało zdolna. Nie, mam po prostu inną hierarchię wartości. Bo co właściwie oznacza kariera w tym zawodzie? Nie jestem sfrustrowana, gram dużo w dobrym teatrze, mieszkam w Krakowie z furą gołębi; wiem, co robię. Mnie to naprawdę w pełni wystarcza.

- Ta stanowcza postawa kłóci się jednak z kilkoma Pani rolami w filmach zdecydowanie nieudanych. Bo jak wobec stwierdzenia o Innej „hierarchii wartości” wytłumaczyć Pani udział w „Pułapce” Adka Drabińskiego?

- Ja się wcale nie zamierzam panu z niczego tłumaczyć. Wystąpiłam też w kilku innych, używając eufemizmu, dziełach nie do końca udanych. Ale nie ma co biadolić, bo to jest zwykłe ryzyko zawodowe. Poza tym w „Pułapce” zagrałam z Markiem Kondratem, a z nim mogłabym polecić nawet jutro na księżyc, nie tylko - jak w „Pułapce” - do Chicago. Marek zagrał ze mną także w serialu „Dorastanie”, który ciągle jest pamiętany, przypomniany. Tajemnica tego powodzenia jest zresztą łatwa do wyjaśnienia. Wszyscy lubimy przecież popatrzeć sobie na miłość, jej problemy, rozstania, tęsknoty. Na „Listy miłosne”, spektakl, który gram z Edwardem Lubaszenko na Małej Scenie w Teatrze Starym już czwarty sezon, ciągle przychodzą komplety i cichcem wzdychają, bo pewnie - mimo wszystko - w tym świecie końca wieku to właśnie jest ciągle najważniejsze.

- Ten koniec wieku wymaga dużej siły, determinacji. Pani jest silna?

- Wie pan, potrafię mówić - „nie”, potrafię mówić - „chcę”, nazywam rzeczy nie zwracając uwagi czy narażę się, czy nie, wiem, jak wygląda kolor biały, a jak czarny itd. I jeszcze nie boję się cierpienia. Jeżeli wyżej wymienione punkty są siłą, to pewnie jestem silna. Siłą może być również to, że potrafię cieszyć się z drobniaków, szczegółów, z tego, że po prostu żyję. Ot, choćby z tej rozmowy.